

# Daj kwiatek



ELIZA ORZESZKOWA

## Daj kwiatek

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwaro. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli, z trudnością przesuującą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często lachmaniasta jej odzież, do których też przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy, — stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującymi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała w sposób podobny, wśród tłumu, spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniej wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domowstw miejskich. To też popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzecz można, w łęk zgięła dość wysoka jednak jej postać, jak wychudła i malutką stała się twarz jej, okryta zgrubiała i ciemną skórą, jak żółkły i pomiędzy sterzące kości policzków głęboko wpadły jej wargi, jak spłwiałały oczy jej, czarne snadź niegdyś, i jak nad spłwiałemi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, malutka powieka. A na czole jej nizkiem, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięła ją i wygniatała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tém włosów niewidać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która, pomimo starości swjej, zachowała jeszcze barwę gorącej żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtém tle tej chustki, końce jej, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami, na rękawach, plecach i piersi. Stopy jej, kroczące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy krótkiej przybranej u dołu w strzępy różnej długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niej przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety tej? Ja znam ją z blizka. Imię jej Chaita, zawód — lachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczyście mi państwo, że zaznajamiać was śmiem z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiecie mi, że jest to nieprzyzwoitem i całkiem niepotrzebnem z méj strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego być może pomiędzy wami a lachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie wymawiacie wyraz ten...

Przebaczyście! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, ścisła, nierozzerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwo — ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt, pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana, pełen złocen i ozdób, żaden gość białej dłoni, pełnej pierścieni i wzgardy — nic nie mogą. Co się zaś tycze nizkiego stanowiska, jeżeli-by wysokości stanowisk ludzkich mierzonymi bywały wedle przeniesionych cierpień i mazołów, upewniam państwo, że Chaita, lachmaniarka, stała-by na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jej... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi

czołami i drżąca, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowie od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznej jakiejś galerii obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jej źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jej, uwiedłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli méj: jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoją, nim zawiody cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historię, całe, od początku do końca, historię wszystkich niskich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą niema w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresowne. Znajomość bowiem wielu, wielu historii podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy źródło mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historii takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadłej twarzy, z kruczym warkoczem i czarnym okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśleć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się we wsi — za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłymi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niej słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnej świeżości, szerokie niwy białeły w zimie puszystym posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, wśród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a dalej nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od światła jutrzeńki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznymi drzewami i barwisty mnóstwem kwiatów. Należał on do dworu, którego też własnością była biedna mała karczemka, dzierzawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierzawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił też synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — nie zbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubożego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu tej ostatniej, przez całe życie wyglądał, jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białymi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny spędził na śnieżnej zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w której wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całymi, ogrzewana słońcem majowym, a ochładzana gałęzmi rozłożystego głogu, które, powiewając nad nią niby wachlarze, szeptały wciąż do jej ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z nim kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnymi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonych w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w której wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jej było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty, rosnące w nim, z zachwytem popatrzeć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w której stajni beczalo kóz kilka, serdecznych jej przyjaciółek, w której ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłej twarzy i cierpiącym, łagodnym wejrzeniu, a przed której progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornej wydobywał ze skrzypiec nieuczzone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na niskiej ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białej mgłę, kłębiącej się po łąkach, na kształt wód,

kołysanych wiatrem. Grając, brat miał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jęj nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Mgła, tak gęsta, jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczyma ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czémś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żalowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciąglęj, coraz smętniej, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasluchane twarze; w ciemnej sionce matka wzdychała głośno, a ojciec, z długą, rudą brodą i okiem posepnym nieco pod zbrudzonym czołem, modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniejszy, coraz żarliwiejszy, coraz jękliwszymi i śpieszniejszymi zawodzeniami...

Wraz z piérwszym wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tém wszystkiém Chaity, a może i z czémś więcj jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad którymi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącej zwieszona, ukazały ognistym, szeroko śród marzenia rozwartym jęj oczom urodziwego młodzieńca jakiego, z miękką dłonią, namiętném okiem, a czołem jaśniejącém mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jęj opowiadał jęj braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królowną, aby marzyć o szczęściu... Marzą o niém może i te bosonogie żydóweczki w podartęj odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy, siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwe sennych swych oczu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* — mogła-by dziś, gdyby umiała po francuzku, zapytać Chaity. Ale ona nie umië po francuzku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!”

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z niemi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, śród którego stopy stopom zazdroszczą każdęj piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradają usiłując każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okrucnę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiędłych twarzy, nad którymi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty, swobodnej, świeżej przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jęj wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiej pracy dopomódz; dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszym gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóztwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, którymi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety, garbatęj z przodu i z tyłu; potem roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jęj kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potem jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dluzęj, czém była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaity. Jednę tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz — na ów cmentarz izraelski, który tam, o wiorstę od miasta, na piaszczystym gruncie, śród niskiego, ceglanego ogrodzenia, sterczy lasem czerwonych kamieni. Chaity chodziła często na piaszczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząśł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaity, zanosiła się zwykle od płaczu; a kiedy potem z przechadzki tēj do domu wracała, piaszczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcj. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jęj, który był dla nięj bardzo dobrym, matki, mieszkającej przy nięj na starość, syna, który brylantem był w wyplakaném jęj oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jęj wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaity, przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zubożętnieli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań, zapomnieli o nięj...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domowstw, stare lachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i — żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym niema, coby zgasłe oko jęj rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radośny? Mylicie się! Spójrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwa się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany domostw wyciera, a płytkie obuwie jęj co chwila o ostry kamień zaczepia się i z nóg jęj spada, tak, że zatrzymuje się i z gniewnym mruczeniem coraz w nie na nowo stopę swą w sinęj pończosze wsuwać musi. Spójrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtej chustce, oko jęj strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem zawołała:

— *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześćioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał jęj wołanie, przypadł do nięj, zarzucił oba ramiona na schyloną jęj szyję, pocałował głośnie zmarszczone jęj czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablich* i zielonej bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzymia, płacić trzeba było; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jęj wnukiem po najmłodszej córce, po tęg właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jęj życia. Śmierć zwała z ziemi różę staręj łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jęj obraz w pozostawionym przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladawęj twarzy. Chaimek był ładnym dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w piérwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potem stopniowo twarze ich chudną, źrenice gasną, usta poblądle otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają już najpowszechniej pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem, co właściwie obiera je tak szybko i nieubłagane ze świeżości i wdzięków. Czy widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności*, wpływ, wywierany na organizmy ludzkie przez pewne gatunki i ilości pokarmów? Czy zajrzeliście kiedy do „chederów”, w których dzieci te uczą się? Czy wiecie, czego, jak i kiedy uczą się one? Czy znacie melamedów o silnej pięści i niecierpliwem oku?...

Cokolwiekbydz, Chaimek jest jeszcze bardzo ładny. Ubranie jego znamionuje w sposób wyraźny profesją babki i jedynęj opiekunki jego; od roku już bowiem przeszło nosi on w lecie i w zimie kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszytym jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściej zapomina jęj w domu, a na mieście ukazuje się w małej, rudęj jarmułce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierscienionych jego włosów.

Chaita sama zawsze własnorecznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególnym jest widok staręj kobiety tęg, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy prawie pomarszczonego jęj czoła, i w żółtej swęj chustce, ściśle oblepiającęj jęj głowę, siedzi ona na niskim stołku, przy świetle lampki z długim kominem, i drżącemi, ciemnymi rękoma przykrawuje, przymierza i zszywa spłowiełe łachmany. Czyniąc to z wielkim zajęciem, z nadzwyczajnym wytężeniem myśli i wzroku, od chwili do chwili pomrukuje półgłosem. Mówić do siebie jest jęj stałym zwyczajem. „Kto tam teraz mieszka” szepce czasem. Myśli wtedy o małej, brudnej karczemce, w której urodziła się i wyhodowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod których cieniem przechadzała się kiedyś, dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwęj pogrózki. Przed wyrokiem jęj przepłynęły z srebrnym dzwonieniem fale strumienia, i zamigotały czarnemi oczyma wpatrzonęj w nie dziewczyny.

Innym jednak razem wzdychała ciężko.

— Kiedy on umarł, — mówiła, — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł, ale co to dziwnego? Wory ciężkie na wóz kładł przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potém dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba, i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają jak cień!

Wtedy myśli o młodej, hożej córce swojej, matce Chaimka, o róży owej, którą z ziemi zwała śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, oczy jój z za wielkich okularów gniewnie pałają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziejka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan ode mnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się, potém uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczém nie zna się i ciągle tylko śmieje się i podskakuje. Ja jój do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jój będę nie z téj strony, gdzie są dziury, ale z téj, gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całej złotówki, i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, któremi nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, stara baba czuje, że drzémac zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, rada-by się już położyć i rozciągnąć ociężałe swe członki na łóżku, opatrzoném, niestety, w jedną tylko, bardzo zeszczupłą, bo wyprawną jeszcze, pierzynę. Wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jój stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jój kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzanym dla niego szatom prawdziwej świetności, leży teraz u nóg jój, skurczony w swém bardzo już podartém odzieniu, głęboko uspiony, i w silnie ściśniętej ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wązkie, wklęsłe wargi Chaity rozwierają się szerokim uśmiechem; stawia ona lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia, i składając na rozrurionej snem twarzy jego głośnie pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak już śmieje się, że aż chichoce prawie. Chaimek budzi się, otwiera senne powieki, i coprędzej niesie do ust niedojedzony przedtém obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— *Bobe?* — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka, zajęta zdejmowaniem swego kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od *purycy* dostałem?

Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz, to ja ciebie różgą wybije!

Chaimek ani wyrzutów, ani pogrózek babki już nie słyszy. Śpi on już znowu z obwarzankiem przy ustach, i z ramieniem, ubraném w brudny, gruby, podarty rękaw, zarzuconém nad głową. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się sennie i łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę i sarka, lecz potém wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiej niedorzeczności wyrzucenia jój za okno. Wzdycha przytém ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić! — i dodaje: — Bięda!

Niekiedy babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściej, kiedy Chaity dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na

plecach swych kosz, pełen kupionych i podjętych ze śmietnisk lachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiej dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak niskiej, że zczerniałych belek jęj sufitu Chaita z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnej, że wielki gliniany, rozsypujący się, piec, większą połowę jęj zajmuje. Pod jedynym okienkiem izdebki tęj, złożonym z malutkich szybek, oprawnych w spróchniałe ramki, niema żadnej wcale ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnóstwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudno-by się wśród nich zorientować. Rozdzielone malutkimi domkami i płotami przegniłymi, dziurawymi, chyłącymi się ku ziemi, płacząc się one ze sobą i najróżniejsze posiadają kształty: wężuchne są a długie i kręte, niby kurytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w czarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone, z kałużami, wiecznie stojącymi wśród ostrych kamieni tu i owdzie, i z nagromadzeniem starych desek jakichś, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzęda babkę i pierwszy z wycieczek swych po mieście wraca do izdebki. Roztropne to jest dziecko. Wśród mroku, panującego w izdebce, wynajduje zapalki, roznieca ogień w małej lampce i stawia ją na okienka, aby przyświecała krokom babki, gdy przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego, krętego kurytarza. Wszystko to czyni z powagą wielką, zwolna, ostrożnie; potem zaczyna odbywać po izdebce całej geograficzne poszukiwania. Pogrąża się naprzód w mrokach zapiecka, i po szeleście, który tam czyni, poznać można, iż rozgrzebuje i przeciera starannie nagromadzone tam stare papiery, potem zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki, i pod swoją własną, w kątku na ziemi, leżącą pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowymi; najczęściej jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje zczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba czy twardego séra. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki i, zajądając z apetytem wielkim znaleziony przysmak, przytęm nucąc z cicha, albo głośno śmiejąc się z przychodzących mu na pamięć wypadków dnia minionego, oczekuje przybycia babki.

Wkrótce tęj daje się słyszeć za okienkiem uderzenie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity; niskie drzwiczki rozwierają się szeroko, i wsuwają się przez nie: najprzód gorąco żółta chustka, oblekająca głowę staręj kobiety, potem zgarbione jęj plecy, a potem wielki kosz, sterczący cały różnobarwnymi szmatami, które go przepęlniają, i połyskujący tu i owdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jęj zdjąć z pleców ciężar jęj, a następnie wyciąga ku nięj rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub séra i woła: „Jedz, *Bobe!*” Chaita bierze czasem podawaną jęj żywność i je, najczęściej jednak tak jest zmęczoną, że z głośnym stęknieniem siada na ziemi obok kosza, i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją tęj na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimeka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknię z liliowego muslinu. Suknia ta pełna plam i dziur, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi tylko piękny kolor liliowy, i z otwartymi ustami przygląda się gałązkom deseni. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartęm, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowęj wstążki. Chaimek na widok róży aż chwytą się za głowę obu rękoma, potem, dla lepszego zapewne przypatrzania się prześlicznemu przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jęj błyszczą i uśmiechają się z pod róży, ocieniającęj żółte jęj czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek naprzeciw nięj staje, przypatrując się jęj, przechyla głowę na obie strony i woła: „*Szejne Bobe! a! szejne Bobe!*” Po kapeluszu następują buciki, drobne dziecinne obuwie, podarte, zbrudzone, ale z ponsowęj cieniutkięj skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podjęła z ziemi na obszernym dziedzińcu jakimś, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka ponsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimeka. Skacze on w nich po izdebce, a co chwila staje, i nisko schylając się, przypatruje się im z powagą i uwielbieniem nadzwyczajnem. Chaita, patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— *Chaimkie*, czy ty dziś nic na mieście nie dostał? — Gdy wymawia słowa te, usta jęj drżą trochę i powieki okrywają całkiem niespokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydy się własnego pytania i dolega jęj ono mocno.

Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic mu na to nie mówi, tylko z cicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wzdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie miedzianą lub drobną srebrną monetę, stara babka wyrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię, i w gniew wielki wpada.

— Ty znów żebrał, — woła, zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swęj pierzynie. — A co ja tobie mówiła? czy ja tobie nie mówiła, że żebrać to wstyd i grzech; ja ciebie za to różgą wybiję.

Gdy tak woła, wyraz oczu jęj tak jest rozszrożonym, głowa jęj i ręce tak trzęsą się, że chociaż sceny podobne powtarzają się bardzo często, Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym i, przypadłszy ku ziemi, chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko małe nóżki jego w ponsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innęj strony, przez małe uchylenie jęj, wygląda jeszcze czarne oko, na-pół trwożnie, na-pół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą ponsowych bucików, i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! Co to? czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— *Bobe!* — odzywa się z pod pierzynki przyciszony, jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— *Bobe*, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy gest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Ztamtąd odwraca się raz jeszcze, i spostrzegłszy głowę dziecka, która, zjeżona kasztanowatemi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki na-pół nieśmiało, na-pół swawolnie, uśmiecha się ku nięj i szepce:

— *Fiszle!* (rybko, dzieciątko).

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na długim, wązkim podwórku dnieje, błękitnawy brzask poranku napelnia izdebkę, a na mglistém tle tém wydatnięj odbija się przygarbio napostać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianęj, i z twarzą, zwróconą ku oknu, modlącą się żarliwie. Z szybkimi, krótkimi pokłonami, z rękoma, podnoszącemi się nieco w górę, pół-głosem wymawia ona:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który prostujesz zgjętych w lęk!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który sen z oczu, a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki swęj i, w szaręj koszulince a ponsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się, tak jak ona i mówić:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem ani bałwochwalcą!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I dalej jeszcze długo odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogim, zaniedbaném dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszëj nie posiadała sama. Bracia jęj uczyli się długo różnych mądrych rzeczy, ale ona nie umiała nawet czytać. Wiedziała jednak o tém dobrze, iż wnuk jęj powinien był umieć to, co umieli bracia, mąż i zięć jęj, a zmarły oddawna już ojciec Chaimka. Ubodzy to byli i ciężko pracujący ludzie, ale czytać po hebrajsku umieli i zakonu izraelskiego mnogie przepisy znali. Wiedzę tę posiadać musi każdy w Izraelu mężczyzna. Prawidło-to, nie posiadające wyjątków. Miałże-by tylko wnuk jęj stanowić w tym względzie haniebny i srodze boleśny dla nięj wyjątek? Chaita myślała o tém nieraz z trwożą i smutkiem wielkim, ale zaradzić trosce swęj nie mogła. Melamedowie nie bawą na ogół ludźmi bezinteresownymi, a ona zarabiała na handlu swym jak raz tyle, aby módz wydać na utrzymanie swoje i wnuka rubli sr. 3 na miesiąc, czyli gr. 20 dziennie. Jeżeli miesiąc miał dni 31, Chaita z dniem tym naddatkovym bywała zwykle w srogim kłopotcie.



Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który, otoczony niskim ogrodzeniem i osadzony mizernymi drzewami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobiegły przódź. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok, Mendelkiem, szli z wolna, trzymając się za ręce i rozmawiając o rękach olbrzyma, których wielkość napępiała ich podziwieniem; o prześlicznej różowej bluzie jego, i piękniejszych jeszcze od niej trawisto-zielonych *inexprymablach*. Po drodze zatrzymywali się przed niektórymi z wystaw sklepowych, tu, z owartemi szeroko ustami, przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziej uśmiechając się z rozkoszą na widok spiętrzonych wysoko bułek i rogali, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich malutki Mendele, w różowym spencerku i niezmiennie z pod spencerka zwisających białych tasiemkach, wyciągał nawet obie ręce. Ale Chaimek, o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogali tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nic-by się im nie przydały, ponieważ są *trefnemi*. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu *trefu*. Chaimek znał fakt, ale wytłómaczyć go przyjacielowi nie umiał; powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się, i bardzo już jest uczonym i nabożnym, zapytają go o to.

Jakoż, gdy, rozmawiając w ten sposób, weszli na bulwar, ujrzeni siedzącego na ławce wyrostka, w długiej, szarej surducinie i czapce, nisko na czoło nasuniętej. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego zgromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, lub młodszych nieco, którzy wszyscy, gwarząc, opowiadając sobie o czemś, sprzecząc się nawet, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu, albo mistrzowi jakiemu. Widocznie mały Enoch, słyszący z tak wczesnej uczoneści i nabożności swój, zajmował wśród rówieśników swych stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych, którzy szanowali i podziwiali go nawet wielce. Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było w rzeczy samej świetnym i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana twarz małego mędrca, była tak bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, tak głęboko zapadły i na świat patrzyły z wyrazem tak dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniej jeszcze poważnym!.. Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z której sływał, gromadząc mu się w głowie, wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby owa wielka nabożność, którą tak wczesnie się odznaczał, zjęła mu małą, szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała ją nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i, podnosząc ku poważnej twarzy starszego towarzysza twarzyczkę swą okrągłą, ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał:

— Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest *tref* i *koszer*? dlaczego nie wolno-by nam jeść bułek tych, których tam, za oknem piekarni, tak wiele?

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz i już — już odpowiadać zaczynał dwom, stojącym przed nim, malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy, siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tém już dawno wiedzą, zatem i słuchać więcej nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiej piękną jaką historią. Enoch mnóstwo pięknych historii umie. Nauczył się ich w hederze, (przeszedł już bowiem cały pięcioksiąg, i znajduje się obecnie w studium elementarnej nauki Talmudu, z komentarzem *Rasze*, i sływał nieraz, jak opowiada je ojciec jego, uczony Szymszel, gościom swym, żonie swój, a nawet niekiedy, w braku słuchaczy, i samemu sobie. Enoch tedy, mnóstwo historii pięknych na pamięć umiejac, chętnie, choć ze zwiększoną jeszcze powagą, opowiada je towarzyszom. I teraz także, w krótkich słowach wyjaśnwszy Chaimekowi znaczenie *trefu* i *koszeru*, w sztywnej postawie i z poważnemi gościem rozprowadzić zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszych historii Enocha. Plagi po plagach następują tam długim szeregiem, a jedna od drugiej jest straszniejszą. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemém osłupieniu, i wszystkie jednocześnie podnoszą twarze i oczy w górę, chcąc przekonać się, że nad nimi świeci jeszcze jasne i ciepłe słońce letnie. Mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury szarańczy, nie mają one bowiem dokładnego pojęcia, jak stworzenia te wyglądać mogą, a wyobraża-

jąc sobie, że są czems nakształt owadów tych, które przepelniają izdebki ich rodziców, nie czują ku nim wielkiego wstrętu. Różdzka Mojżesza za to, przemieniająca się w węża, zajmuje niezmiernie ich wyobraźnią. Co-by to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko, czego żąda! Mały Mendele naprzykład przemienił-by natychmiast kamyczek, leżący u stóp jego, w piękną, żółtą, pulchną *chałę*, a Chaimek rozkazał-by uschłej gałązce, którą trzyma w ręce, ażeby stała się taką piękną różą, jak była owa róża, zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczy zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je od czasu do czasu różne drobne epizody, związku z nią niemające. Tak np. gburowaty i gapiowaty Mordko, syn krawca Gerszuna, chcąc znaleźć się bliżej opowiadającego, popchnął Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił, upadł i głośno zapłakał. Chaimek oburzyła krzywda, wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzonym okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczem nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zwalane piaskiem, pogładził policzek jego zalany łzami, i mocno go potem objąwszy ramieniem, do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całém powstał, wypadkiem tym wywołany, ruch i gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszej mierze nie zważał i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano, opowiadał dalej i ożywał się nawet coraz więcej.

Wytrwałość ta przyniosła, jak zwykle, skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kulminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczy na nowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła. Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne. Słuchano o niej z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi i głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnicy pomiędzy narodowościami, świat ten zamieszkującami, i nie wiedziały o tém, że jedna z narodowości tych nienawidzić może drugiej i cieszyć się z jej nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały też pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskimi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnianego wyżej stopnia mądrości, i nad pierworodnymi egipskimi litości najlżejszej nie uczuwał.

Z błyszczącym okiem i szerokimi giestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owém fatalném wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta, w białej, powłóczyściej, lekkiej jak obłok, sukni, z ciemnymi splotami jedwabistych włosów nad czołem i z ogromną więzią prześlicznych kwiatów w ręce, obciążniętej lśniąca rękawiczką. Była to wysoka, piękna i strojna pani; po obu stronach jej szli też wysocy, piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale najlżejszej nie zwracając uwagi na to, iż odbiegali go słuchacze jego, prawil z coraz większym zapalem historią swą, i dwóm drzewkom, melancholijnie powiewającym nad ławką mizernemi gałązkami, opowiadał o przejściu Mojżesza i Izraelitów przez morze Czerwone. Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła ona w swęj dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, od dawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł jego utonął całkiem w poważnych studyach nad przedmiotami wiary i wiedzy.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziej lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwyt ich budzącem. Gromadą całą biegli oni za panią w białej sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki ich napełniały powietrze wrzawą ogłuszającą. Chaimek szczególnie nie mógł oderwać oczu od ogromnego i prześlicznego bukietu. Dotąd, widywał on tylko kwiaty, malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz stariej Chaity, albo te, które, z nikłą barwą i zmietem, martwem obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietnikach podejmowane przez nią, kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swém nie widział on kwiatów żywych, wonnych, świetnych gorącemi barwami, operlonych jeszcze srebrnymi kroplami. Teraz zobaczył je i aż zadrżał cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał on nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać biegowi towarzyszy, usiadł na środku bulwarowej ścieżki i, rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy, mniej śmie-

li, albo może mniej namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewnym oddaleniu, palcami tylko ukazując ją i jej bukiet. Ale Chaimek zabiegał jej wciąż drogę i, wyciągając obie ręce ku jej kwiatom, roziskrzone, błagalne oczy podnosił. Zjęty nieśmiałością usuwał się potem, aby wnet znowu, z tym samym gościem i wejrzaniem, zabiedz jej drogę. Ona nie zważała przez chwilę, ani na dziecko, ani na ruchy jego na-pół nieśmiałe, na-pół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jej i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stała wtedy i ze zdziwieniem z razu, potem z uśmiechem na dziecko spójrzała. Źrenice jej szafirowe, łagodne, ze srebrzystym połyskiem, spotkały się z nieśmiałościami a roziskrzonymi, jak czarne brylanty, oczyma dziecka. Okrągłą twarzyczkę jego oblewały ogniste rumieńce, drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Schylona nad nim, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym, powolnym ruchem, dotknął końcem palca jej kwiatów. Zaśmiała się srebrzyście i miękko zarazem, dłoń jej spoczęła już teraz na gęstych jego kędziorach.

— Poproś ładnie — rzekła — a może dam ci kwatek z mego bukietu?

Chaimek stał przed nią nieruchomy i patrzył jej w oczy zaleknionym trochę i zdziwionym spojrzeniem, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się rozpląkać. Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego, nie rozumiał, pierwszy raz bodaj dźwięki jego słyszał. Z twarzy jej i z głosu, z ruchu jej dłoni, która z miękką pieścizotą przesuwiała się po włosach jego, domyślił się, że piękna pani była dla niego łaskawą, ale czego-by chciała od niego, o co go pytała — nie wiedział. Odgadła to właścicielka bukietu.

— On mnie nie rozumie! — zawołała, i w mgnieniu oka biała jej twarz powlokła się cieniem smutku. Potem łagodnie i żartobliwie trochę rzekła:

— Powiedz mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się tym razem, że kobieta uczy go wymawiania nieznanymi jakichś wyrazów. Pojętność i uwaga odbiły się w oczach jego, które rozwarły się szerzej.

— „Daj kwiatek” — uśmiechając się wciąż, mówiła kobieta.

Chaimek wyjąkał i wybełkotał z razu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny dla niego wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białej sukni wesoło i razem głęboko jakoś popatrzyła mu w oczy, potem odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i podała je dziecku.

— Śliczne dziecię! — prostując się, rzekła do towarzyszy swych i chciała odejść, a Chaimek zawiesił się u jej ręki, którą okrywał namiętnymi pocałunkami.

W minutę potem biegł już ulicą, wiodącą ku żydowskiej dzielnicy. Trzymał kwiaty swe w wysoko podniesionych rękach, biegł bardzo szybko, ani słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go doganiali, bronił się rękoma i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińców i wpadł do mieszkania babki.

W chwili tej właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka. O! błogosławionem bądź słońce, które ozłaczasz niekiedy czarne ściany takich niskich ciemnych izdebek, szkarłatnymi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane, rozsypujące się piece, i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczonym i żółkłym takiej przygarbionej, zmęczonej, starzej, łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionej ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką swą, która, na stolku siedząc, drzącymi rękoma przebierała podarte łachmany. Śnieżne lilie, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki i wysokie trawy ze srebrnymi brzegami rozbłysły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich świeża, silna, upajająca, napelniła izdebkę całą od czarnego sufitu do glinianej, poszczerbionej, śmieciem okrytej podłogi. Chaity klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— *Chaimkie!* — zawołała — aj! aj *Chaimkie* — a z kąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi ich tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownej błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy, wzięwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im z daleka i z bliska, przymrużała oczy, nos swój,

uzbrojony w wielkie okulary, kryła całkiem prawie w kielichu białej lilii, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, a wciąż wołała:

— Aj! aj! jakie to gładkie! a jak to pachnie! a jak to błyszczą!...

I trudno-by rozpoznać, które z dwojga istot tych, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniej temi arcydziełami natury, co zajaśniały nagle w ciemnym i dusznym ich miejskim więzieniu tym błyskiem zbytku, który przerznął i rozświetlił przed nimi — mrok nędzy. Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższą była. Chaita po kwadransie poczęła głową trząść smutnie jakoś, westchnęła nawet.

— Kiedy ja byłam młoda — szepnęła — ja takie same piękne kwiaty widywałam w dworskim ogrodzie. Potem już ja żadnych kwiatów nie widziałam nigdy...

Chaimek siedział w kątku na swojej pierzynie i, opowiadał babce o pięknej pani i o sposobie, w jaki kwiaty od niej otrzymał, całował od chwili do chwili róże i lilie. Lecz babka po wielkiej radości posmutniała na cały wieczór i, cerując przy ostatnim świetle dnia stary spencer jakiś, wciąż mruczała do siebie coś o rodzinnej karczmie, o dworskim ogrodzie, o gałęziach brzoź, kołyszących się nad wodą, o późniejszym życiu swoim, biedach jego, troskach, bólach...

Wśród nocy budziła się ciągle, stękała, wzdychała, a nie śpiąc, usłyszała, jak w ciemnościach, zalegających kątek izby, głosik dziecinny, czysty jak srebro, uśmiechniony, z dźwiękiem prośby wymówił przez sen: „Daj kwiatek!”

Chaimkowi śniła się kobieta w białej sukni i z szafirowym, srebrzystym połyskującym okiem; śniły się mu też kwiaty, i nie dziw, bo oddychał wciąż, owiany był cały ich mocną wonią. Nocy tej, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatkach. W obawie, aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod małą, biedną poduszczykę, powleczonej sinym, szorstkim płóciem.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz Chaita, odmawiając, jak zwykle, o wschodzie dnia poranne swe modlitwy, usłyszała za sobą głośne spazmatyczne niemal szlochania. Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jej oczom.

Na wiązce słomy, przykrytej na-pół cienką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranymi i zjeżonymi, a kolana jego, przykryte szarą koszuliną, i drobne nagie stopy osypane były trupami kwiatów. Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął on wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atlasowe liście białych lilii żółkły były i porozdzierane, róże, na-pół ogołocone ze swych koron, sterczały uwiedłymi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe, o nich zaledwie wspomnienia. Chaimek z obwisłymi rękoma patrzył na nie i płakał, szlochając głośno, pełną piersią. Daremnie pocieszała go babka pieszczotliwymi wyrazami, to znowu łajała, grożąc, że go różgą wybije... Chaimek, nie słyszał nic i nie widział! Łzy duże, rzęsiste, strumieniem nieprzerwanym lały się z oczu jego, i spadając na uwiedłe kwiecie, skrapiały je obfitą niby rosą. Jedna tam była tylko gałąź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne te gwiazdki ze złotymi oczyma zdawały się łagodnie i smutnie patrzeć na zapłakanego chłopczykę. Gdyby posiadały dar mowy, lub gdyby Chaimek znał imię ich, powiedziały-by mu one z pewnością: „Pamiętaj!”

Nie wiem jednak, czy nauki, udzielane mu przez Rebe Nochima, nie wygonią z pamięci Chaimka łagodnego upomnienia kwiatów z błękitnym spojrzeniem; bowiem od dwóch miesięcy ma szczęście być wychowawcą i uczniem Rebe Nochima...

Był raz wieczór jesienny i smutny. Za okienkiem izdebki Chaity, po długim, wazkiem, podwórku, z żalośnym gwizdaniem przelatywały wichry, a gdy umilkły na chwilę, słychać było szmer deszczu, spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku swym, stękała i wzdychała. Wązki promień lampki migotał po twarzy śpiącego obok niej Chaimka, a ona w twarz tę wlepiła nieruchome oczy i, według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśliwe ty moje dziecię, co z tobą stanie się, kiedy dusza moja rozwód weźmie z moim ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moją, aby szła ztąd i połączyła się w światłości jego z duszami matki mojej i ojca mego, męża mego Lejby i brata mego Abrahama, dwóch synów moich i kochanej córki mojej Małki? A co ja Malce mojej powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta się: Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego głowę wkładać będzie? Jak ona mię tak zapyta się,

ja z wielkiego wstydu oczu na nią, na moją kochaną Malkę, podnieść nie będę mogła, i tylko cała łzami zaleję się, bo miłego synka jój, Chaimka, ja samego jednego na tym świecie zostawię... On tak mały i żadnej rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy, do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita. Wieczoru tego myślała o śmierci, bo na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie bardzo jęczały, a ją bolały wszystkie kości i bolała głowa, żółtą chustką owiązana, i koło serca tak się jój jakoś robiło słabo i boleśnie, iż myślała, że z każdym odetchnieniem cząstka duszy jój ulatuje z jój ciała. Przyniem, srogich od dni kilku doświadczyła zgryzot. Czy to, że sił niedostawało jój do gorliwych zachodów, czy że rywalka jój, Jenta, jako młodsza nieco i zdrowsza, w targu i na śmietniskach wszystkich ją wyprzedzała, od tygodnia może nie zarobiła nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: Nu, wypros dziś tam u *puryców* kilka groszy. — Nie srożyła się i nie lajała go, a zwykłą w podobnych wypadkach pogroźkę; „ja ciebie za to różgą wybiję”, wymówiła tak cicho, że Chaimek wcale jój nie dosłyszał.

Wieczór był już późny i dawno pora było rozebrać się i wsunąć pod pierzynę; ale stara babka nie uczyniła jeszcze tego, leżała w ubraniu i długo, długo mruczała półgłosem, oczu nie spuszcżając z twarzy śpiącego wnuka. Potem podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy wielką dziurawą chustkę i, nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki. Zgarbiona, z ręką wyciągniętą na przód, wśród fal deszczowych, które uderzały jój prosto w twarz i przenikały dziurawą jój odzież, przebywała kręte dziedzińczki i wązkie uliczki. Stopy jój osuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże, szła bardzo powoli. Doszła nakoniec do celu swój wędrowki, i wsunąwszy się w ciemną sionkę niskiego domowstwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos mężki.

Chaita z cicha wymówiła imię swe.

— Wejdz!

Izba, do której Chaita weszła, dość obszerną była, ale ubogą. W głębi jój, na prostym stolku, przed stołem, na którym leżała wielka, rozwartą księgą, siedział człowiek, w długim do ziemi, wyszarżanem ubraniu, z obliczem ciemnem i całkowicie prawie obrosłem gęstemi, ciemnymi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiem snadź wytężeniem władz duchowych, bo, gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą od przedmiotu swych myśli. Nie rozgniewał się jednak, że mu przeszkadzono w zajęciu, i łagodnym głosem zapytał:

— Czego przychodzicie do mnie o tak późnej porze? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego, wyrzekać na nią wzbrania nam zakon nasz — surowiej nieco odparł mężczyzna i zapytał: — Czego chcecie ode mnie?

Chaita pochylała się i pochwyiwszy ciemną, suchą jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— *Rebe!* — rzekła — ja przysłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwem stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niem!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, któremi zapełniał ją przyszły los dziecka.

— *Rebe* — mówiła u końca mowy swój — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... *Rebe!* niech twoje oko z gniewem i pogardą na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć... Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona prowadzić może do tego, że on będzie kraść! Aj! aj! *Rebe!* ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całym ciele, jak gdyby miała febrę.

— *Rebe!* ja grzech nie jeden mam na sumieniu mojem! Zdarzało się, że łachman nędżny ja za dobry sprzedałam, a kupując rzecz jaką dobrą, zapłaciłam za nią, jak za nędżny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z tój strony,

z której on cały i piękny był, a tę stronę, która była dziurawą i brzydką, chowałam, jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, tój, co także lachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu swoim miałam, kłóciłam się i biłam z nią o lichy zarobek! Widzisz ty, *Rebe*, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, ale ty nie patrz na mnie za to, co ja zrobiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, *Rebe*, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! Ja tego bardzo boję się! Ulituj ty się nad małym, niewinnym dzieckiem! Ono takie piękne, i takie rozumne, i takie jeszcze małe! Weź ty, *Rebe*, wnuka mego pod opiekę swoją, jak tyle już dzieci biednych nieraz brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć się i rozum do swojej głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zbrakło! Ty dobry jesteś, *Rebe*, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak wielka mądrość twoja, na cały świat słyń! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twym sercu!

Drżącój mowy starzej kobiety *Rebe* słuchał w milczeniu, z uwagą. Myślał potem chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! Ja prośbę twoję spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zbiorę, do *Talmud Tory* posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zbolala i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością wypowiedzianą. Nagle zapłakała głośno, spazmatycznie prawie.

— Czegoż płaczesz? — zapytał *Rebe*.

— O, *Rebe!* przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojem... Niema u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on, żyliśmy do tego czasu, jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek, i które ciągle na siebie patrzą, a jedna drugiej żyć dopomaga... Jak ty, *Rebe*, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Kiedy ja obudzę się z rana, nie zaśmieją się już do mnie usta jego, a kiedy wieczorem do domu wrócę, szyi mojej ręce jego nie obejmą. Nie będą już nóżki jego biegać i skakać po mojej izdebce, a w ciemnościach nocnych nikt już nie zawoła do mnie: — *Bobe!* przyjdź i zabierz mnie do łóżka swego... niech ja rozgrzeję się pod pierzyną twoją... Pozwól ty, *Rebe*, żebym przynajmniej często do domu twego przychodziła i, na niego patrząc, pocieszała stare oczy moje...

Nazajutrz do izdebki Chaity wszedł. Reb Nochim, i wzięwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże i jakim jest Reb Nochim? Zdziwicie się państwo, gdy powiem wam, że jest to mąż sławy niepospolitej. Nie słyszeliście nigdy o nim? Jeden to dowód więcej, że, posiadając wiele wiedzy, można jeszcze o mnóstwie rzeczy nie wiedzieć. Reb Nochim słyń szeroko wśród izraelskiego plebsu z uczoności swjej, pobożności i miłosierdzia. Talmudystą jest on, biegłym wielce, i naukę kabały studyjuje z niezmordowaną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczu jego nic niema skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tém z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiej litości jego zato mam dowody niezbite, bo czyny jój i następstwa widziałam nieraz przed własnymi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie, ubogie, obdarte, głodne, które gromadami całymi przygarniał on ku sobie; widziałam starców niedołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę on dawał... Ale o tém mi mówić nie pora dziś. Teraz wspomnę o tym rysie usposobień *Rebe* Nochima, który wyrzucić może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnej inniej mowy, ani wyrazu jednego nie rozumie i nie wymówił nigdy. Pograżony całkiem w studyach religijnych, w badaniu szczególnej tajemnic kabały, nad któremi praca, wierząc państwo, żartem wcale nie jest, nie miał on może czasu wyczyć się języka panującego w kraju, który dla pra-pra-dziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że oprócz braku czasu, nieumiejętność ta *Rebe* Nochima posiada jedną jeszcze przyczynę, którą, zdaje mi się, że raz własnymi dostrzegłem oczyma.

Było to niedawno temu. Idąc ulicą miasta, spotkałam przybywający do Ongrodu tabor cały pogorzalców. W pobliżkiem miasteczku zgorzały wielu biednym ludziom domy ich i całe chudoby, i jechali oni teraz na wozach, odarci, wychudli, wpólnadzy, niektórzy

nawet szli pieszo, a na obliczach wszystkich była nędza i rozpaczne o ratunek błaganie. Tabór ten posuwał się zwolna środkiem ulicy, a na chodnikach stały tłumy zamożniejszej izraelskiej ludności, przypatrującej się z ubolewaniem nieszczęściu spółbraci. Chodnikiem też równoległe z taborem postępował Reb Nochim. Smutny stan nędzarzy tak go rozrzewniał, iż wielkie łzy jedna za drugą płynęły po ciemnych, zarosłych włosom, jego policzkach. W dłoniach trzymał puszkę blaszaną i przed osobą każdą stojącą na chodniku wstrząsał nią, o jałmużnę dla pogorzalców prosząc. Nie prosił wprawdzie ustami, nie mówił nic, ale wymownie bardzo prosiły łzy jego i smutne, głębokie jego wejrzenie. Za każdym razem, gdy miedziana lub srebrna moneta z ręki czyjej w głąb' puszki wpadła, Reb Nochim dziękował dawcy skinieniem głowy, pełnym wdzięczności, i takim miękkim błogosławiącym uśmiechem.

Kobieta jakaś, nienależąca do izraelskiego świata, przechodząc, rzuciła też pieniądź w puszkę Reb Nochima. Reb Nochim nie podawał jęj puszki swęj, bo poznał od razu, że nie należała ona do plemienia tego, z którego pochodzili sunący środkiem ulicy nędzarze; lecz gdy nieproszona dar swój złożyła, orzucił ją bystrém spójrzeniem, w którym błysnęło twarde, niemile światło jakieś, wstrząsnął puszką swą tak silnie, jak gdyby chciał wyrzucić z nięj pieniądź, przez nią rzucony, i głową nie skinął, i nie uśmiechnął się, i szybko, bardzo, bardzo szybko, minął kobietę...

Byłam tam wtedy, moment ten pochwyciłam wzrokiem i pomyślałam zaraz o małym Chaimku. Być może jednak, że te lilie białe, na których przespał on noc jedną, że te niezabudki, które błękitném wejrzeniem swém zdawały się mówić mu: „pamiętaj!”...

... Chaimek mieszka u Rebe Nochima i uczęszcza do Talmud-Tory, ale wieczorami Reb Nochim często sam go naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historii, poczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to niemała, gdyż rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studyów i modłów. Ale czegoż Reb Nochim nie uczyni gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakimś malutkiem sercu wzniecić może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj tedy wieczorem; Reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w niskiej szaręj izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole, a rękę podnosił w górę, wskazując niby niebo; dziecię, z okrągłą, pojętną twarzyczką, siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnymi rękoma splecionymi na stole, wyprostowane, uważne, z dwojgiem wielkich oczu nieruchomie utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestestwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą i rozrzewnioną. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Onegdaj właśnie opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc w niebieskich wrotach, pochwytuje modlitwy, lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnej piękności, i spleta z nich wieńce, które składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy i litości z zachwyceniem niezmierném, i jakby ujrzeć go zapragnął, podniósł w górę swe oczy. Wtedy, nagle, przed pamięcią i wyobraźnią jego stanęła kobieta w białej sukni, ujrzana kiedyś na bulwarze miejskim; zobaczył schylającą się ku niemu twarz jęj białą i łagodną, z szafirowém, srebrzyście połyskującym okiem i, zapatrzony kędyś wysoko, głośno z uśmiechem wymówił.

— Daj kwiatek!

Rebe Nochima zdziwiły bardzo nieznanne mu wyrazy, które wymówiło dziecię i...

Lecz o Reb Nochimie, życiu jego, naukach i tych dziwnych, lub może i niedziwnych sprzecznościach, które istnieją w sercu i głowie jego, opowiem państwu kiedyś, później... jeżeli dowiem się, że historia o Chaicie i Chaimku zdobyć sobie zdołała przyjazne wasze względy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-roznych-sfer-daj-kwiatek>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*. Nowelle i obrazki, tom III, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0610-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.